

Sawicki, Tadeusz

Wspomnienia

Zeszyty Naukowe Ostrołęckiego Towarzystwa Naukowego 13, 307-322

1999

Artykuł został zdigitalizowany i opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych oraz w kolekcji mazowieckich czasopism regionalnych mazowsze.hist.pl.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

TADEUSZ SAWICKI
Ostrołęka

Wspomnienia

Ja, Tadeusz Sawicki, syn Jana i Teofili z Bakułów, urodziłem się 26.06.1931 r. w Ostrołęce, na ulicy Szkolnej 18, przy Parku Miejskim. W miejscu tym, obecnie stoi postument Kurpianki z dzieckiem.

Kiedyś była tam okolica piaszczysta, że nie chciało rosnąć zboże, a wozy o żelaznych obręczach rznąły się po oście, że ciężko było dojechać do wsi Goworki.

Na ulicy Szkolnej był dom, S. i H. Niedziałkowskich, w którym w latach 1913 - 1915 mieściło się polskie progimnazjum, a od 1932 r. - 8-ście Klasowe, Państwowe Gimnazjum Męskie.

Ostrołęka nie była taka jak dziś (65.000 mieszkańców), liczyła zaledwie 14 000 mieszkańców i w tym połowa Żydów. Żydzi w Ostrołęce byli tak oswojeni, że mówili „nasze kamienie, a wasze ulice”.

Mój ojciec pracował na poczcie w Ostrołęce jako listonosz. A ja w 1939 r. ukończyłem I-wszą klasę Szkoły Podstawowej. I już w szkole mówili o wojnie. Ja za dużo nie rozumiałem.

Wokół było tak cicho i tak spokojnie, tak jasno świeciło słońce na błękitnym niebie, że wojna wydawała się czymś odległym i niemożliwym. Ja przygotowywałem się do drugiej klasy Szkoły Podstawowej. Nadszedł dzień 1 września. Wybuchła wojna. Niemcy napadli na Polskę. W całej Polsce zrobił się popłoch, samoloty niemieckie chodziły tak nisko, że można było rozpoznać pilotów niemieckich. A naszych „Orłów” nie było widać. Warszawskie radio nadawało: że nie dajmy guzika od munduru. Naczelny Wódz Rydz-Śmigły przysyłał walczącym wojskom pozdrowienia, radio nadawało muzykę taneczną. Wojska w Ostrołęce nie było, pomimo że stacjonował 5 pułk ułanów Zasławskich w Wojciechowicach. Byli w akcji.

Dla Polski rozpoczęły się czarne dni i noce, które trwały 5 lat. W pierwszych dniach września polscy żołnierze zrobili stanowisko ogniowe na skrzyżowaniu dróg: Warszawa - Myszyniec - Ostrołęka pod klonami po drugiej stronie Narwi, obok małej stacji kolejowej zwanej Ciuchcią. Zaraz tam poszedłem. Obrońcy Ostrołęki są:

„A ty mikrusie tu czego? Uciekaj do schronu, bo tu będzie za gorąco dla ciebie”- powiedział jeden z żołnierzy leżący przy ciężkim karabinie maszynowym. Czy miał zupełnie czerwone od tego wpatrywania się w niebo i od tego palącego się tartaku i zapory wodnej, której Polacy nie zdążyli zakończyć budowy, żeby zrobić przeszkodę wodną dla niemieckich wojsk.

- Zmiataj, zmiataj, bo tu front, a nie przedszkole - dogadał drugi z obsługi karabinu. Czego od chłopca chcecie? Wtrącił się trzeci: w piwnicy, czy tu na skrzyżowaniu, to wszystko jedno.

Leżeli tak na skwarze pod zwiędłymi gałązkami klonu. Te gałązki miały ich maskować przed niemieckimi samolotami. A „mikrus”, ani myślał przemawiać się tym żołnierskim dogadywaniem.

Przesunąłem tylko czapkę w tył głowy, włożyłem ręce w kieszenie i parzyłem na karabin jak urzeczony.

Gdzieś w górze zaczął się szum, zrazu cichy, a potem coraz natrętniejszy, jakby brzęczał jakiś opity miodem bąk. Są- powiedział celowniczy i poprawił taśmę z nabojami.

Padnij! Ale mikrus stał - rzucił Tadzia przez ramię ten pierwszy do okopu, gdzie stał karabin maszynowy. Zasłonił Tadzia piersiami, ledwo zdążyłem spojrzeć raz jeszcze w niebo. Zachichotało, zawył w powietrzu. Ziemia stanęła, a potem huk i gorąca fala, jak pchnięcie pięścią w piersi. Pac, pac, padały gorące odłamki o kilkanaście metrów od naszej szóstki i tego karabinu plującego bez przerwy kulami.

Zuch chłopak! - powiedział żołnierz, gdy samoloty odleciały w kierunku Myszyńca.

Co, weźmiemy go do kompanii?

Przyniosę wam wody, a jak matka ma co do jedzenia, to się zrobi. Uśmiechnąłem się tylko od ucha do ucha - już lecę na jednej nodze. A ciebie znów gdzie poniosło? - zapytała się mama. I zaczęła gderać. Tylko na tych skrzyżowaniach za mostem chcą wody, a może i chleba? Zagadałem to gderanie matki. A bierz, zgodziła się mama. Tadzio zakręcił się raz dwa, złapał czyściutki ręcznik, utrząsłem jabłek, zawinałem w ręcznik, złapałem wiaderko, nieduże z wodą- rozejrzałem się tylko za chlebem.

Obładowany byłem jak koń pociągowy.

Najgorsze to było z tym wiaderkiem, bo rozlewała się woda. Przypadłem do żołnierzy, przy karabinie, znów byli w akcji. Szła seria za serią w niebo.

Odczekałem nalot.

Nalałem żołnierzom wody, były pełne trzy manierki. Wpakowałem żołnierzom chleb i ręcznik z jabłkami pod te uwiędłe gałązki i pobiegłem znów do Narwi po wodę do karabinu maszynowego.

Hej! Mikrus dziękujemy ci za wodę, szmatkę, jabłka i chleb - krzyknął żołnierz, ten, co mnie nazwał „mikrusem”. Wody do karabina nie trzeba.

Wycofujemy się do Różana. Swój chłopak, jesteś z żołnierskiej wiary. Ja, aż poczerwieniałem z uciechy i dumy.

Po wycofaniu się karabinu maszynowego, cofały się oddziały wojska polskiego. Przez Siarczą Łąkę, Kadzidło, Brzozówkę i Łodziska. Zawsze w styczności z wojskami niemieckimi. Wojna.

Trzeba podkreślić bohaterską obronę Westerplatte. 24 sierpnia na spokojnych wodach pojawił się gość - olbrzymi pancernik „Schleswig Holschte-

in". Przybył z wizytą do portu gdańskiego.

Zakotwiczył się naprzeciwko Westerplatte. W noc 1 września 1939 r. pancernik otworzył ogień ze wszystkich dział, na polski posterunek. Załoga stała na nogi. Padły krótkie rozkazy. Wojna. Walili się w gruzy wartownie.

Nawet grube mury nie wytrzymały. A słońce prażyło nieznośnie. Ciała zabitych znoszono do piwnic, gdzie były kadzie z wapnem. Taki dał rozkaz dowódca, major Sucharski.

Nosili żołnierze swoich kolegów i składali do kadzi z wapnem. Taki to był żołnierski pogrzeb... Śpij - kolego... Siedem dni trwała załoga w zaciętej obronie. Siedem dni nadawało warszawskie radio: Westerplatte broni się jeszcze.

8 września 1939 r. skapitulowała załoga licząca 220 osób w tym 15 żołnierzy zostało zabitych. A 205 bohaterów poszło do niemieckiej niewoli, kiedy wystrzelono ostatni nabój.

Mieli się bronić 24 godziny, w tym czasie miała nadejść pomoc z Anglii i Francji. Układy zawiodły. A nad wymarłym ze zniszczeń Westerplatte powiewała biała chorągiew. Znak kapitulacji.

17 września 1939 roku Związek Sowiecki napada na Polskę. 23 września wojska niemieckie i sowieckie osiągają wcześniej uzgodnioną linię podziału Polski. 27 września Polska zostaje podzielona układem: Ribbentrop - Mołotow.

Polskę pozostawiono - samotną.

Porównajmy sytuację Polski. W 1939 roku Polska liczyła 35 milionów ludności, leżała w samym sercu Europy. Była państwem typowo rolniczym. Najdłuższe granice, praktycznie otwarte, na zachodzie przebiegały wzdłuż Niemiec 2000 km a na wschodzie wzdłuż ZSRR 1500 km. Polska posiadała źle uzbrojoną armię, 1 września powszechna mobilizacja była nadal w toku, kiedy niemieckie oddziały wojskowe obalały słupy graniczne i wkraczały do Polski. 19 września 1939 roku skapitulowała Warszawa. 2 października 1939 roku zakończono bohaterską obronę „samotnego” półwyspu Hel. Obroną dowodził komandor Włodzimierz Steyer. 5 października Hitler odbiera defiladę wojsk niemieckich w Warszawie. 6 października nastąpiło zakończenie regularnych walk na terenie całej Polski. 7 listopada 1939 roku został zwolniony ze stanowiska Naczelnym Wódz Edward Śmigły-Rydz, przez gen. Władysława Sikorskiego, szefa nowego rządu polskiego w Paryżu. Zróbmy małą analizę sił września 1939 roku.

Polska posiadała:

1,2 mln żołnierzy - 40 Dywizji gotowych do walki, 435 samolotów, 880 czołgów lekkich, rozpoznawczych.

Można je zaliczyć do samochodów lekko opancerzonych. Pancerny był przebijany przez zwykły karabin piechoty.

400 dział różnego kalibru,

4 niszczyciele morskie,
5 okrętów podwodnych.

Niemcy posiadali:

ponad 3 mln żołnierzy - 103 dywizje,
ponad 3000 czołgów,
7000 dział,
4093 samolotów, w tym : 1176 bombowców,
1179 myśliwców,
353 sztukasów
2 pancerniki,
2 krążowniki ciężkie,
3 pancerniki kieszonkowe,
8 krążowników lekkich,
22 niszczyciele,
56 okrętów podwodnych.

To wszystko mogło być użyte przeciwko Polsce 1 września 1939 r.

Związek Sowiecki czyli ZSRR posiadał:

1,5 mln żołnierzy użyte przeciw Polsce
6191 czołgów,
9140 dział różnego kalibru,
1800 samolotów
wyposażenie marynarki wojennej nieznane.

To wszystko 17 września miało runąć na Polskę. Marszałek Śmigły-Rydz wydaje rozkaz do wojsk polskich. „Z bolszewikami nie walczyć”. Ten rozkaz skazał 400 tysięczną armię WP na zniszczenie.

A co dalej w Ostrołęce

Niemcy w pierwszych dniach okupacji krwawo rozprawili się z Polakami, którzy byli na stanowiskach i z inteligencją polską. Zaczęły się rozstrzeliwania i branie do niemieckich obozów, z których już nie było powrotu. Następni to byli Żydzi. Żeby ich wytępić stworzyli tak zwane getta żydowskie, to znaczy obozy śmierci.

W wyniku podziału ziem polskich na strefę niemiecką i bolszewicką 28 września 1939 r. Ostrołęka zostaje przyłączona do Rzeszy Niemieckiej i nazwana przez Niemców Scharfenwiesae. Zaczęły się łapanki i wywózki ludności na roboty do Niemiec. Także nam zwinęli ojca i wywieźli do Prus Wschodnich, a nas na koniec 1940 r. wywieźli samochodami z Ostrołęki do

Działdowa, gdzie mieścił się obóz przejściowy dla Żydów. Ja ubrałem się grubo, wziąłem blachę chleba i to mnie starczyło do dźwigania. Mój brat Aleksander, 5 lat starszy ode mnie wziął worek w którym znajdowała się pierzyna, poduszka, koc i 2 prześcieradła. Uginał się pod ciężarem worka. Mama wzięła dość dużą walizkę i tak nas prowadzono do kościoła Farnego, a później załadowano nas na samochody i wywieziono do Działdowa. W Działdowie przebywaliśmy 10 dni, gdzie przez niemiecki czerwony krzyż dostawaliśmy raz dziennie ciepłą zupę i mały kawałek chleba, oraz czarna zbożową, gorzką kawę. Ważne, że była ciepła. Działdowo to był obóz przejściowy dla Żydów. Niemcy z nami obchodzili się dość łagodnie w porównaniu Żydami, a nawet niektórzy mówili, że my nie jesteśmy przeznaczeni do stracenia. To co widziałem na własne oczy, co wyrabiało gestapo z Żydami, to nie do pomyślenia w wyobraźni, że może człowiek stworzyć drugiemu człowiekowi piekło na ziemi. Po 10 dniach pobytu w Działdowie podstawiono pociąg składający się ze starych nie ogrzewanych wagonów, ale osobowych. A mróz był około 30 stopni i tak drogą okrężną, przez Toruń po paru dniach dojechalśmy do Opoczna. W Opocznie umieszczono nas w dużej szkole. Niemcy zrobili nam zbiórkę na placu szkolnym. Powiedzieli, że jesteśmy wolni. Kto ma jakąś rodzinę w Protektoracie - tak nazywano część Polski, która nie była włączona do III Rzeszy Niemieckiej, to może wyjechać do rodziny. Nie wolno nam wracać do Ostrołęki, bo kto wróci będzie rozstrzelany. Dużo ludzi rozjechało się do rodzin. Ale my rodziny nie mieliśmy, pozostaliśmy w szkole głodni. Na drugi dzień przyjechała kuchnia wojskowa ze znakami czerwonego krzyża, ale już bez żandarmerii. Pracownicy cywilni wydali nam wzmocnione porcje zupy i chleba, bo była nas już tylko połowa. Mama powiedziała: i co z nami teraz będzie? Ale po trzech dniach pobytu w szkole przyjechały wiejskie furmanki i nas na zarządzenie władz niemieckich rozwieźli po wsiach. My trafiliśmy do wioski SŁUŻNO koło Opoczna. W Służnie przygotowano mały pokoik o glinianej podłodze i na niej leżało trzy snopki słomy. Słoma miała nam służyć za legowisko do spania. Była kuchnia murowana z gliny z przypiekiem. Kiedy się paliło to przypiecek był ciepły i się wydawało, że jest jako tako ciepło. Ale żeby było trochę ciepło, trzeba było zbierać chrust do palenia, tam gdzie się dało zbieraliśmy. A żeby z głodu nie umrzeć, trzeba było chodzić po wsi i żebrać. Ludzie dawali co mieli, ale i oni za dużo nie mieli, ogólnie była straszna bieda. Dawali chleb, ziemniaki, a nawet trafiło się, że ktoś dał jakąś soloną kość na zupę. I tak się żyło. A tu nadchodziła Wielkanoc. Pewnego razu zachciało się mnie, żeby mama ugotowała kawałek mięsa, może z kury. Ale mama powiedziała „dzieciaku, kartofli i chleba brakuje, a kura to rarytas zapomnij o tym”. Ale ja o tym nie zapomniałem, rosółek z kury stał mnie przed oczyma. A może żeby tak kurę ukraść. I ze swoimi planami się nie zdradzałem. Jako 9 -letni mi krus snułem swój plan w głowie. Pewnego razu wybrałem się na zwiady, zwiadałem podwórka, były psy, czekały, kury kręciły się koło kurników

i przy stodołach, nikt mnie o nic złego nie podejrzewał. A tu nie wiadomo skąd wyskakuje jakiś Burek i chap mnie za zajdy, na szczęście widział to gospodarz, krzyknął na Burka, Burek poleciał a ja w nogi, ale już majtki były porwane. Oj! najadłem się tylko strachu, a matka gderała. O swoich planach nikomu nic nie powiedziałem. Tylko do dziś pozostał mnie ten strach Burka i zapach w myśli świeżego mięsa z kury. I tak sobie powiedziałem, gdybym miał z głodu umrzeć to już kraść nie pójdę. I tak się stało.

Zaraz po Wielkanocy zachciało nam się wracać bliżej Ostrołęki. A ponieważ Niemcy po Protektoracie pozwolili nam się poruszać, więc poszliśmy z mamą do soltysa, żeby wieś się zebrała po parę groszy na wyjazd. A wieś miała nas po same uszy, żeby nas się pozbyć - tak zrobiła. Do Opoczna odwiózł nas na stację kolejową gospodarz, u którego mieszkaliśmy. Wykupiono bilety i tak przez Warszawę dotarliśmy do wsi Dzwonek. W Warszawie była łapanka na dworcu Głównym, tak że złapali i nas. Ale mama miała tylko berdy, które przejrżeli i dwóch chłopaków małych oraz zezwolenie poruszania się po Protektoracie napisane przez żandarmerię niemiecką w języku niemieckim, to nas puścili. W Dzwonku bagaże złożyliśmy koło młyna. Młyn był na parę, tak że na dworze, koło pieca, było ciepło. W Dzwonku dowiedzieliśmy się, że jest tu rodzina z Ostrołęki. Więc poszliśmy do nich, to tak było, jakby swój swojego zobaczył. Tą rodziną byli państwo Pietrasikowie, przyjęli nas serdecznie, pomimo, że sami nie mieli, bo byli wysiedleńcami z Ostrołęki. Była wiosna 1941 r., trzeba było coś robić. Brat Aleksander poszedł do gospodarza Dzwonkowskiego, który ich przyjął serdecznie. Zaproponował bratu pasienie krów, mamie pomoc domową w gospodarstwie: A ten mikrus też się przyda do pasienia gęsi, a była ich cała gromada, nie do policzenia. Ja miałem ich paść nad rzeczką Orz, która przepływała koło wioski. W połowie czerwca 21 na 22 Niemcy rozpoczęli wojnę z Rosją. Początkowo Rosjanie uciekali w popłochu gdzie pieprz rośnie, nie wierzyli jak to się stało, że ich sojusznik mógł na nich napaść. Ale różni są sojusznicy. I tak pognali Rosjan, aż pod Moskwę i Stalingrad (obecnie Wołgograd). Tam Niemcy dostali lanie i rozbito potęgę Niemiecką. Stamtąd zaczęli się cofać. Cofali się powoli aż do Berlina.

Był to długi okres a nasze losy potoczyły się tak. Zaraz po wkroczeniu wojsk Niemieckich do Łomży pomyśleliśmy, że trzeba by było wyjechać do Kupisk Starych, gdzie mieszkali nasi dziadkowie, rodzice naszego ojca. Sawicki Antoni i Aleksandra. Ale trzeba było umowy dotrzymać z gospodarzem Dzwonkowskim w Dzwonku. Na koniec roku mieliśmy otrzymać wynagrodzenie i tak się stało. Po przybyciu do Dziadków ja awansowałem do pasienia krów, mama z Olkiem do pomocy w gospodarstwie. Dziadek Sawicki miał gospodarstwo składające się z 18 ha ornej ziemi. Więc trzeba było pracować w ciężkich warunkach okupacji niemieckiej i tak pracowaliśmy spokojnie do 1944 roku.

Zaczął się zbliżać front, ten spod Moskwy i Stalingradu. Zaczęły się na-

loty samolotów rosyjskich, które latały niezbyt wysoko a niemieckich już nie było widać. Zostały wybite pod Moskwą i Stalingradem. Samoloty rosyjskie latały w grupie 9-ciu bombowców i trzy samoloty myśliwskie, które były osłoną dla bombowców. A nocą grasowały samoloty dwupłatowce, tak zwane „Kakurużnik”, one były obsługiwane przez rosyjskie dziewczyny, groźna broń dla Niemców. We wioskach stacjonowało dużo wojsk niemieckich, w stodołach, chlewach, na strychach - gdzie się dało. Było gorąco, był lipiec 1944 r. Także w Kupiskach Starych było dużo wojsk niemieckich. W nocy przyleciały cichutko kokurużniki na wyłączonych silnikach, ni z gruszki ni z pietruszki jak zaczęły bomby zapalające rzucać, zrobił się popłoch i piekło, wszystko wkoło płonęło. Ludzie ze wsi i Niemcy nie wiedzieli gdzie uciekać, spłonęło pół wioski, dużo Niemców w stodołach się popaliło, tak, że zostały tylko podkówki od butów. Dużo zostało spalonego sprzętu wojskowego oraz koni. Ludzie na następną noc, oczywiście kto przeżył, wyprowadzili się z dobytkiem na łąki, tam rosły duże konopie, dobre do zamaskowania ludności cywilnej. Łomża była bombardowana w dzień i w nocy. I tak zniszczono Łomżę w 80 %. W sierpniu 1944 r. Niemcy doszli do przekonania, że tu muszą zatrzymać Rosjan i tu powstanie duży front. Więc ludność cywilna musi być usunięta, gdzieś dalej za Narew. Tak się stało.

W pierwszych dniach sierpnia 1944 r. całe Kupiski Stare zostały otoczone przez żandarmerię niemiecką i Niemcy powiedzieli, że muszą ewakuować całą wioskę, bo za miesiąc będzie tu front i piekło wojenne. Powoli i dokładnie musicie się przygotować do ewakuacji, zabierajcie wszystko co się da i to najlepsze. Na przygotowanie macie 24 godziny do wymarszu za Narew. Więc zaczęto pakować na wozy wszystko co było najlepsze. Nazajutrz ustawiła się cała wioska w jednym rzędzie. Z furmanek spędzano wszystkie krowy, cielaki, owce całej wsi. Miałem psa, nazywał się Bukiet, zabrałem go z sobą i tak wszystko ruszyło przez Łomżę, bo tam był jeszcze most nie zniszczony ale zaminowany przez Niemców. A w Kupiskach, to co zostało, Niemcy wyłapali i wytlukli dla potrzeb frontu. A wioskę częściowo spalili. A my mogliśmy się popatrzeć z Piątnicy z odległości 7-8 km, jak paliła się wioska. Kolumna ruszyła, znalazła się w szczyrim polu.

Zaatakowały nas rosyjskie samoloty. Boże co tu się działo: zrobiło się piekło na ziemi. W samolotach piloci początkowo myśleli, że to kolumna wojsk niemieckich. Zrzucili parę bomb, a myśliwce jak zaczęły strzelać z karabinów maszynowych, zrobiło się ciemno i był taki popłoch, że nie wiadomo było w którą stronę uciekać. Niemcy pouciekali gdzie pieprz rośnie, wokoło paliło się zboże na pniu i w dziesiątkach, były to żniwa. Wystraszone konie poszły w kłus. Wozy się powywały, para koni została zabita, parę osób zostało rannych. Miałem psa Bukieta, który dostał „kota” i zginął bez wieści. A biedni ludzie machali tylko czymś białym i prosili Boga o zlitowanie. Myśliwce przestały strzelać, bombowce też się uspokoiły, tylko jeszcze raz zrobiły taką rundę prawie nad naszymi głowami i odleciały. Przez cały dzień

kolumna nie mogła się pozbierać. Żandarmów nie było, gdzieś się pochowali. Lekarzy też nie było. Zmarły dwie osoby. Pochowano ich w szczerym polu na skrzyżowaniu dróg pod krzyżem. Trumien nie było, zawinięte były w białe prześcieradła. Na wieczór znów się pojawili Niemcy. Tym, co zabito konie, kazano zabrać tyle, co mogli unieść i zanieść do sąsiada. A wóz podpalili. Właściciele w płacz. Jeden z Niemców zdjął z pleców karabin i powiedział - możecie zostać ale martwi. Wszystkich strach obleciał. I dalej nas pogнали do lasu na dużą polanę koło wsi Jurzec.

Rankiem polana była obstawiona przez Niemców. Niemcy zrabowali wszystko to co im było przydatne, wszystkich mężczyzn zebrano do kupy, podjechały niemieckie samochody z obstawą wojskową i wywieźli ich gdzieś w nieznaną, ponoć na kopanie okopów dla Niemców. Ale młode kobiety i młodzież zabrali do pędzenia krów w obstawie żandarmerii w nieznaną. Tylko małe dzieci i dziadków zostawili w spokoju na pastwę losu. A tu front się zbliżał do Narwi. Po obrabowaniu nas przez Niemców pozostał: dziadek Sawicki Antoni, ciotka Helena Rogalska z Sawickich z dwoma małymi synami Henrykiem i Romanem, ciotka Stanisława Sawicka, matka Teofila Sawicka z Tadeuszem i Aleksandrem. Ciotka Stanisława i mój brat Aleksander ukryli się w krzakach i w ten sposób zostali niezauważeni przez Niemców. Razem było nas ośmioro z małymi berdami.

Jadąc do wioski, która znajdowała się w pobliżu, zobaczyliśmy w krzakach krowę dziadków. Jak zobaczyła swoich to i sama przyszła do woza. Radocha była wielka, bo dzieciom potrzeba było mleka. Wioska nazywała się Jurzec, u gospodarza dostaliśmy mały pokój. Był sierpień. Krowę i konia pasło się gdzie się dało. Ale przyszedł grudzień. Mróz był dość ostry. Mój pies nas odnalazł, była uciecha, że wszyscy się popłakali, ale jedna gęba do żywienia więcej.

Łapanki na mężczyzn odbywały się raz albo dwa razy na tydzień do kopania okopów dla Niemców. Dorosłe dziewczyny i chłopaki kryli się gdzie tylko mogli. Porobiono takie kryjówki: stał kierat, w kieracie chodziły konie, a pod kieratem była kryjówka na 7 albo 8 ludzi, włącz był gdzieś daleko w stodole lub chlewie. Brakowało ciepłej wody, a i nie było w czym i gdzie się umyć i wykąpać. Bieliznę zmieniało się raz w miesiącu, to i załęgaly się wszy. Nie było proszków do prania ani mydła, więc chodziliśmy jak brudasiniący. Brakowało chleba, ziemniaków, była ogólna głodowa. A tu nadchodziła gwiazdka - Boże Narodzenie 1944 r. Mama myślała jak zrobić pranie bez mydła, a może się wykąpać lub umyć? Mama powiedziała: może wybierzemy się po prośbie do młyna, który był na drugiej wsi, myślę że coś dostaniemy, mydło lub mąki. I tak się stało. Idziemy a tu nagle widać dużą grupę ludzi. Łapanka na okopy. Masz babo placek i mydło - pomyślałem? Jeden z żandarmów podchodzi do matki i mówi: matka kopać, a on niech idzie na hałs czyli do domu. Ja się rozplakałem. Żandarm spojrzał na mnie a ten drugi jak mnie odwalil kopa takim ciężkim żołnierskim butem to tak z jeden

metr przeleciałem w powietrzu. Padłem i zacząłem strasznie płakać. Teraz to już nie ze strachu ale z bólu. Matka w płacz. A ten żandarm co mnie kopnął chciał jeszcze mnie poprawić, a ten pierwszy wziął go za rękę i poszli. Ja długo leżałem, bo nie mogłem stanąć. A mama trzymała mnie na kolanach i razem płakaliśmy. Żandarmów nie było, pomalutku mama postawiła mnie na nogi i my też poszliśmy. Strasznie bolało, ale doszliśmy do młyna. Młyn był poruszany na wodę. Młynarka popatrzyła na mnie z litością bo mama powiedziała jej o zajściu, dała mnie jakąś tabletkę, a mamie dwa kawałki mydła swojej roboty i 5 kg mąki, już nie pamiętam jakiej. Z mąki piekli placki, ja też jadłem, bardzo smakowały, a z mydłem zrobiono pranie.

Przyszła gwiazdka, był mróz, gospodarz z gospodynią mieli same kłopoty. Wszędzie było pełno Niemców, spali w mieszkaniu na słomie, oczywiście na podłogach a na podwórku było dużo sprzętu wojskowego, stały samochody a w stodołach dużo koni i tabory wojskowe. I tak to trwało do 15 stycznia 1945 roku. Z 15 - 16 stycznia wjechały tabory wojskowe konne i samochody. Niemcy gdzieś się wynieśli. Gospodarzowi powiedzieli, żeby słomy nie wynieść bo jutro będzie spać tu ruskie wojsko. Została tylko drużyna niemieckich saperów w ilości 11 żołnierzy do wysadzenia mostu. Przez wieś płynęła większa struga. Było to gdzieś w okolicach Kolna. Most był kamienny i zaminiowany. 16 stycznia 1945 roku o godz. 22.00 potężny wybuch, to most wyleciał w powietrze. Niemcy byli już okrążeni i nie mieli gdzie uciekać. 17 stycznia do wsi JURZEC wczesnym rankiem wkroczył rosyjski patrol, dwóch żołnierzy. Złapali ich Niemcy. Zemsta była duża, to tak ich potłukli że mózg im powychodził z głowy, a wnętrzności było widać na wierzchu. Ja ich widziałem. Ale rosyjskie wojsko dopadło Niemców. Wszystkich zabito, a martwych poukładano na szosie tak jeden przy drugim całą jednostkę. I tak po nich przeszła kolumna rosyjskich czołgów, która szła na Berlin. To tak ich rozdzyczyli, że łopatami nie było co zbierać. A tych dwóch żołnierzy rosyjskich, zaraz przyszła drużyna wojskowa i za stodołą gospodarza stał nie duży stóg słomy, przenieśli go obok, i w tym miejscu wykopali mogiłę. I tak z całym oporządzeniem wojskowym włożono ich do grobu. „Pagibli za Rodzina i Stalina” Strzelili 3 x z k.b.k. (tak się nazywał rosyjski karabin z bagnetem) i zasypali. Taki to byt pogrzeb żołnierski. Tylko gospodarz i sołtys dostał zaświadczenie, że po froncie przyjdą tu żołnierze, wykopią zwłoki i zabiorą ich do swoich. Znowu było pełno słomy na podłodze. „Polaki jesteście wolni, germańców nietu, nietu paszli - paszli. My idut na Berlin”. Po przemocowaniu jednej nocy, ruskie wojska wyjechały w kierunku Berlina. A w JURCU zrobiła się cisza, że nikt nie wierzył, że to prawie koniec wojny po 5 letniej tułaczce. Pomyśleliśmy, że droga jest wolna, to trzeba wracać do Kupisk, a z Kupisk do Ostrołęki. Ciężko było wracać po zaminiowanych drogach, ale wracaliśmy. Po drodze było widać jak konie leżały zabite, furmanki powywalane do góry kołami. Dużo leżało trupów a przeważnie żołnierzy niemieckich. Było też widać porozwalane samochody, czołgi i artylerii. Prze-

cież stał tu front pół roku na Narwi a Piątница była twierdzą Łomżyńską dla Niemiec. Most na Łomżę wysadzony w powietrze. Przejazdu nie ma: trzeba było jechać okrężną drogą gdzie przeprowaiało się wojsko rosyjskie przez Narwę po lodzie, nawet szły czołgi T-34. Przyjeżdżamy do Kupisk, wieś spalona, gdziegdzie stoi na pół rozwalony domek, ludzie mieszkają w piwnicach na ziemniaki. Ale mówili, że to już na swoim. Mama powiedziała nam, że musimy szanować swoją biedę i nie mamy co tu do roboty, trzeba wracać do Ostrołęki. Ale jak ? Dziadek Sawicki ciężko się rozchorował, koń też i co tu robić? Poszła mama do sołtysa i wyjaśniła sytuację. Sołtys wyznaczył furmankę, żeby zawiozła nas do Ostrołęki. Przyjeżdżamy do Ostrołęki na ul. Szkolną, tam gdzie się urodziłem, ani znaku po domu, trafiła w niego bomba i się rozleciał. Na szczęście mieliśmy drugi dom na Starosty Kosa. Chatka niby stoi, pocisk trafił w ścianę, jest dziura, Wszędzie ponasrywano, podłoga zerwana, w pokoju pieca nie ma, kuchnia rozebrana. I co teraz będzie? Mama powiedziała, bierzemy się do roboty. Wszystkie śmiecie trzeba wyrzucić. Dziurę w ścianie naprawić. Za drzwiami i oknem trzeba było się rozejrzeć. Materiałów budowlanych nie było. Były okopy, bunkry wojskowe, tam można było znaleźć wszystko, drzwi, okna, szyby, deski z podłóg i wiele innych materiałów budowlanych. Jedno okno zmontowaliśmy, drugie zabilismy deskami. Trzeba było w pierwszej kolejności postawić kuchnię, ile to było kłopotu ze znalezieniem gliny. Roboty było po same uszy. Zbiliśmy kojko do spania, z desek, i tak na pół głodni pracowaliśmy, ale już na swoim. A potem było trzeba polatać, a może coś do jedzenia się znajdzie. Mama gdzieś poszła, przyniosła sól, ale sól była obłana benzyną, trzeba było benzynę wypalić na blasze nad ogniem, tak żeby sól nadawała się do spożycia. Olek, mój brat, 5 lat starszy ode mnie, znalazł gdzieś konserwę mięsną. Było napisane Świnskąja-Tuszonka, a pod spodem U.S.A. -wyjątkowo smakowała. Codziennie chodziłem z bratem Olkiem z oskardami na kopanie ziemniaków, z których mama piekła nam placki. Chodziliśmy także koło młyna Figata, młyn byt do połowy rozebrany, a przy młynie był olbrzymi rów, w którym było pełno ryb zamrożonych w lodzie. Z tych ryb mama gotowała nam zupę. I tak się żyło, byle jak, żeby z głodu nie umrzeć. Powoli sytuacja się poprawiała. Po froncie Ostrołęka na przełomie lutego i marca 1945 r. liczyła 5.000 tys. ludności. Pod koniec lutego pojawił się Polski Czerwony Krzyż, kuchnie wojskowe. Wydawano nam raz dziennie gorącą zupę i ćwiartkę chleba - bardzo smakował. Było już nieźle, a po krótkim czasie pojawiły się paczki U.N.R.A - U.S.A. To już było wiadomo, że z głodu nie umrzemy. Było w nich wszystko, co dziecko po wojnie mogło wymarzyć. Powoli pokazywał się chleb, ziemniaki i inne artykuły żywnościowe, które otrzymywaliśmy na kartki. Pieniądze wypłacał nam magistrat, jako zapomogę żeby można było żywność wykupić na kartki. Miasto powoli zaczęło odżywać. Było bardzo zniszczone, nieprzejezdne ulice. Budynki do połowy porozwalane. Wszędzie było pełno bunkrów i okopów, leżało dużo trupów niemieckich, pełno sprzętu

wojskowego, amunicja wszelkiego kalibru, karabiny, granaty bojowe, hełmy, i całe miasto wkoło zaminowane. Przyszedł maj 1945 roku. Zwerbowano nas, całą młodzież do szkoły. Ja poszedłem do III klasy, bo w czasie 5 - letniej okupacji trochę mnie uczono. Wakacji nie było, tylko uczyć się trzeba było. Byliśmy wszyscy opóźnieni w nauce, jak „Koziołki Matołki”. Szkoła była na ulicy Parkowej i jest do dziś, w bloku poniemieckim. Była to Szkoła Podstawowa Nr 2. A kierownikiem szkoły był pan Mikołaj Chełstowski, który dobrze dał nam się we znaki, był nerwowym i wybuchowym człowiekiem. Ale kochał swoich „fachmeciarzy”. My też dobrze dawaliśmy się we znaki. W szkole wszystkich chłopców nazywał „Panie Baranie” a dziewczyny „Wolowina, Cielęcina”. A szkoła nr 1 była spalona, to do nauki postawiono tam barak. Kierownikiem Szkoły Podstawowej Nr 1 był pan Józef Leonik - bardzo wyrozumiały, cierpliwy i też kochał swych uczniów. W ciągu 5 miesięcy przerobiłem trzecią klasę, a z dniem 1 września 1945 roku byłem uczniem IV klasy. Nie daj Boże jaka to była nauka - książek, zeszytów, piór, atramentu, żadnych przyborów do pisania nie było, chyba, że ktoś przyniósł do szkoły znalezione książki lub trochę papieru. W jednym roku szkolnym przerabialiśmy dwie klasy, klasę piątą i szóstą ukończyłem w szkole nr 2, a siódmą klasę w szkole nr 1 w baraku u pana Józefa Leonka. Rok 1946 był rokiem może najcięższym dla pana Mikołaja Chełstowskiego. Bo miał „armię” takich chłopców, bojowe granaty mieli pod ławkami. Wkoło grasowały jeszcze różne bandy i prawdziwa partyzantka AK.

Za prosiaka, czy krowę, można było stracić życie. Była Milicja czyli M.O. niezorganizowana, czasami rozbrajano ich, wyśmiewano, że noszą wrony na czapkach, bez korony, i nieraz dobrze oberwali. Ale jak byłem uczniem szóstej klasy Szkoły Podstawowej, to i my bawiliśmy się w partyzantów, były to głupie zabawy w Parku Miejskim. Była tam strzelnica z dawnych czasów. Dowódcą naszym był Julek Szacherski, taki sobie kolega, z pół roku starszy, a może i nie, ale wysoki i cwaniaczek. Byliśmy uzbrojeni po zęby, każdy miał broń prawdziwą, naboje, granaty i własny magazyn. Były nawet „niespodzianki”, kalectwa, a nawet wypadki śmiertelne. Ale u nas w grupie „niespodzianki” takiej nie było. Ja w broń zaopatrzony byłem z bunkrów niemieckich, z rejonu, gdzie obecnie jest Stadion Sportowy. Teren ten był zaminywany. Mnie się udało, chyba dzięki Bogu. Ale tam rozminowywała teren grupa polskich saperów, jednemu się nie udało, zginął. Starszy saper Karol Gwóźdź, lat 23. Zginął od zdradzieckiej miny niemieckiej, dnia 15 maja 1946 roku. Trumna z włokami była wystawiona na dziedziniec Szkoły Metalowej, był kapelan wojskowy, pluton wojskowy i dużo wojska polskiego. Miejsce spoczynku sapersa jest w Ostrołęce, jak się wchodzi na cmentarz bramą główną, po lewej stronie, tuż przy alejce. Pluton żołnierski strzelił 3 razy z K.B.K. (tak się nazywał karabin żołnierza), a trąbka zagrała: Śpij kolego w Ciemnym Grobie. Ile razy przechodzę koło mogiły, muszę się w duchu pomodlić za jego duszę. Zginął na Polu Chwały.

A co dalej w parku. Pewnego razu park został otoczony przez U. B., czyli Urząd Bezpieczeństwa Publicznego. Musieliśmy się poddać bez boju. Julek kazał podnieść ręce do góry i tak szliśmy do UB - owców, jak niewolnicy, oni nas rozbroili i dobrze zrewidowali. A potem na samochód. Kto był sprytny i szybko wskoczył na samochód, nie oberwał, a który był gapa to i porządnie dostał pasów po dupie. Przywieziono nas na U.B. i na noc wsadzono do piwnicy.

Oj! Najedliśmy się na kolację strachu . Co teraz będzie? Na drugi dzień rano zebrano wszystkich rodziców. Patrzymy pan kierownik szkoły też jest. Kierownik stwierdził, że wszyscy to są jego uczniowie ze Szkoły Podstawowej nr 2 w Ostrołęce. Była lista- rodzice odbierali nas za pokwitowaniem, i że nie pozwolą bawić nam się w partyzantów. I znów było lanie i „panie baranie”. Matka gderała- ojciec też, a co było w szkole, lepiej już nie pisać. Ojciec powrócił w maju roku 1945, po 5 letniej niewoli. Bogu dziękować, że nasza bliższa rodzina była w komplecie. Ojciec po powrocie z niewoli zaraz przystąpił do pracy na poczcie Ostrołęka- 2, czyli stacja kolejowa, gdzie pracował do lat emerytalnych. A ja w 1947 r. ukończyłem Szkołę Podstawową w baraku u pana Józefa Leonika, który mieszkał na ul. Mazowieckiej w Ostrołęce. I tak od 1 września 1947 r. byłem uczniem szkoły metalowej.

Kiedy chodziłem do Szkoły Metalowej, a był to rok 1949, zostałem zwerbowany do szkoły wojskowej. I tak od 1 września 1949, zaledwie skończyłem 18 lat, poszedłem już na swój garnuszek, a ciężki to był kawałek chleba, stałem się Kadetem Oficerskiej Szkoły Wojskowej we Wrocławiu, a potem wojsko i wojska. Kiedy ja się uczyłem w szkole wojskowej, w Ostrołęce w Gimnazjum- Stefan Tercjak zakładał tajną organizację, taką z „Motyką na słońce”. Lata były ciężkie: Wówczas slogan wypisywany na zeszytach szkolnych brzmiał: „Młodzieńcze! wahasz się wzór wybrać. Podam ci bliski. Żyj tak, jak żył Towarzysz Dzierżyński.” A w Ostrołęce nauczyciel języka rosyjskiego Palewski z uśmiechem szatańskim dopytywał się swoich uczniów „Kiedy staniesz się bolszewikiem”. Palewski przybył ze Wschodu, dokładnie nikt nie wiedział skąd. Bardzo szybko zaczęli wzorować się nasi Towarzysze jak: W Liceum Pedagogicznym, pedagog pani Halina Tanianis, mieszkanka Ostrołęki, z ulicy obecnie Psarskiego 5. Mieli tam swój domek z ogródkiem, który stoi do dziś. I jej uczeń Jan Merks - do dziś chluba Ostrołęki. Inwalida wojenny, z przypadkowego wypadku i wielu innych. Była to przednia straż tego co szło ze Wschodu. Dochodziło do takiej sytuacji, że Jan Merks latał z dzwonkiem po ulicach w czerwonym krawacie i dzwonił dzwonkiem ręcznym ogłaszając: „Ściągać flagi (a był to dzień 2 maja), bo straw będzie. Jacy to Polacy!” Którzy Konstytucji 3 maja nie uważali. Była i taka sytuacja, że pani Halina Tanianis w Liceum Pedagogicznym, kiedy to zmarł towarzysz Józef Stalin 9 marca 1953 r., przed popiersiem gipsowym Józefa Stalina - klęknęła, podniosła ręce do góry i wyrzekła te słowa: „Towarzyszu Stalinie, jak będziemy żyć? Ofiaruję ci własne dziecko, tylko wstań.” A później wie-

my jak się stało. Stalina wyrzucono z mauzoleum i zasypano w murach Kremłowskich, Beria za swe czyny został rozstrzelany przez rosyjskiego generała Moskalkenkę osobiście. A pani Tanianis ze wstydu nie mogła żyć w Ostrołęce. Sprzedała swój domek i wyjechała do Rybienka.

„Wroga klasowego”, rozpoznawano po kolorze włożonego krawata. Ci wierni ideologii socjalistycznej, stawali się bardzo ważni, czerwony krawat był ich wizytówką, oni decydowali o wszystkim. Zastraszali młodzież szkolną i zapędzali do masowej organizacji Z.M.P. Jednym prawdziwym opiekunem, jak ojciec, był ks. Ołdakowski, pocieszał młodzież szkolną, mówił, że jakoś to będzie. „No i co” - tak zaczynały się rozmowy o wszystkim. O tym co jedli na śniadanie, o tym co mówiono na zebraniu Z.M.P. i o tym co było poruszane na radach pedagogicznych. Nie zdawali sobie sprawy, że wśród nich mogli być zdraycy. Byli to ludzie którzy współpracowali z U.B. Tę prawdę mogli zrozumieć na danym etapie dziejowym ludzie doświadczeni, mądrzy, znający mechanizm systemu bolszewickiego. Do takich ludzi w Ostrołęce należał doktor Józef Psarski, dyrektor Szkoły Metalowej Pan Jasiński pseudonim - „Klipa” z czasów odzyskania Niepodległości Polski. Mój nauczyciel matematyki Pan Popiołek - Akowiec żyjący do dziś na ul. Mazowieckiej. Doktor Józef Psarski był katorżnikiem Syberii. Tylko za to, że był nie ugiętym, prawdziwym Polakiem, założycielem Szkoły Metalowej w Ostrołęce. Była to kiedyś cerkiew ze 123 lat niewoli rosyjskiej. Dobrze znał system bolszewicki. A moim prawdziwym przyjacielem był Stefan Tercjak, z którym przez długi czas miałem same kłopoty. Stefan twierdził, że Polska to nie Polska Polaków tylko - bolszewików. Marzył o nowej Polsce. Doktor Józef Psarski twierdził, że te tajne organizacje polskiej młodzieży, bardziej są potrzebne bolszewikom, niż nam prawdziwym Polakom, że to będzie „wyrwanie się z motyką na słońce”. Ja Stefanowi mówiłem, myśl twoja jest dobra, ale to z motyką na słońce? Rozzłoszczony Stefan jak mnie rąbnie prawą ręką w lewe ucho, chyba miał coś w ręku i poszedł. Ja padłem na ziemię zemdłony i nie wiedziałem co się ze mną stało. Świadkiem przy tym był mój kolega, Urban Stanisław ten z ul. Okrzei w Ostrołęce, żyjący do dziś, jako pułkownik w stanie spoczynku w Warszawie. Po Stefanie do dziś mam pamiątkę i tak się rozstaliśmy. Po zdaniu egzaminów w lipcu i sierpniu 1949 r. dostaliśmy wezwania, że mamy się stawić w szkole 1 września. Było nas trzech:

1. Janek Laskowski
2. Geniek Kacprzyński
3. No i ja, Tadeusz Sawicki.

Stefan Tercjak był moim serdecznym przyjacielem, uznał, że idziemy bolszewikom służyć. Patrzył na mnie żabim okiem. Ja kierowałem się słowami doktora Józefa Psarskiego.

Dr Józef Psarski twierdził:

Każda szkoła jest dobra: Tylko trzeba być prawdziwym Polakiem. Trzeba umieć, to co złe dla Polski odrzucić, a to co dobre pozostawić w sercu. A po drugie, żeby poznać system bolszewicki i walczyć, trzeba go najpierw poznać. Moimi najlepszymi kolegami w tym czasie byli: Wladek Akus, Waldek Kotuszewski, Stanisław Urban z Okrzei, Tadeusz Sienkiewicz, Stefan Tercjak, Zdzisław Rataj, Geniek Kacprzyński, Janek Laskowski i wielu innych kolegów.

Jeszcze przed pójściem do szkoły wojskowej na zabawie w baraku szkolnym, gdzie kończyłem 7 klasę Szkoły Podstawowej, u pana Józefa Leonika, poznałem Elę Bednarską która mi wpadła do serca. Po zabawie poszliśmy do parku, a była to już noc, siedzieliśmy na ławce przy głównej bramie, dość długo. Była z nami Jadzia Augustyniak i Stasiek Urban. Nawet jej nie pocałowałem. Ona dostała lanie od swojej mamy, a ja słyszałem jak płakała. A kiedy przyszedł wrzesień 1952 r. wzięliśmy ślub w klasztorze w Ostrołęce. Ja w mundurze w stopniu porucznika, była wielka sensacja w Ostrołęce, żył przecie jeszcze Józef Stalin. W tym czasie już była w Ogólniaku w Ostrołęce tajna organizacja - Zjednoczonego Stronnictwa Narodowego. Był to rok 1951, kierownikiem organizacji początkowo był mój serdeczny przyjaciel z lat młodości, Stefan Tercjak. A po Tercjaku potem Kazimierz Szczepanek.

Zastępcą: Jan Gawek, Mirosław Bednarczyk, Józef Poteraj. (Przyszły szwagier - Stefana Tercjaka)

Kazimierz Szczepanek przyszedł do Ostrołęki z seminarium duchownego z Różanego Stoku. A Mirosław Bednarczyk z seminarium duchownego z Niepokalanowa. Byli skromni, na pozór bojaźliwi, w nowym środowisku zaczęli powoli zyskiwać sympatię, przyjęto ich za swoich. Nikt o nic złego ich nie podejrzewał.

Do organizacji należeli:

Stefan Tercjak ps. Cygan, Jan Gawek, Jan Gocłowski, Tadeusz Sojka ps. Kokietek, Mieczysław Mieszko ps. Żagiel, Józef Poteraj ps. Kotwica, Kazimierz Szczepanek ps. Orzeł. Pozostali członkowie pochodzili z innych szkół.

A byli to: Jan Żebrowski, Jan Olech, Anna Wołosz, Henryk Wołosz, Mirosław Bednarczyk.

Spoza szkoły połączono organizację Tadeusza Nysztela - nauczyciela z Myszynca. Była siostra zakonna Stanisława Zyśk, pracownica w powiatowym szpitalu w Ostrołęce. Był zakonnik z Niepokalanowa Bronisław Kuliński, który w swoim zeznaniu nazwał Mirosława Bednarczyka zdrajcą, posadził go o zdradę organizacji. O prawdzie przekonała się organizacja dopiero

podczas śledztwa na U.B., kiedy wszyscy byli aresztowani. Organizacja używała nazwy Związek Walki Młodych, posiadała broń krótką, automatyczną i amunicję. 17 maja 1952 r., po zakończonym śledztwie, wywieziono ich do Warszawy z wyrokami:

Jan Olech 5 lat

Tadeusz Nysztal, który się do niczego nie przyznał ani w śledztwie, ani na rozprawie, otrzymał wyrok 7 lat.

Stefan Tercjak 7 lat.

Henryk Wołosz 7 lat.

Jan Żebrowski 7 lat.

Józef Poteraj 7 lat.

Dziwni Polacy ich sądzili, nie umieli rozmawiać po polsku, a byli w polskich mundurach.

Po latach

W Ostrołęce wszystko się zmieniło. Z organizacji Związek Walki Młodych, po odsiedzeniu kar, wszyscy powrócili do swoich miast i osiedli, zajęli się pracą i nauką. I tak się pracowało, że nie wiadomo kiedy, znaleźliśmy się w latach emerytalnych. Stefan Tercjak po odsiedzeniu kary powrócił do Ostrołęki, zerwał ze mną naszą serdeczną przyjaźń - może mi nie dowierzał, że byłem jego serdecznym przyjacielem. Tak myślałem.

W pełni lata 1989 r. spotkaliśmy się na mieście i mi powiedział: Tadeusz wybieram się do ciebie na serdeczną pogadankę, najlepiej by było gdybyś, był sam. Nie ma sprawy. Elę znasz, ona pracuje od 7 do 15 w PTTK. Ja byłem już na wcześniejszej emeryturze. I tak się umówiliśmy, nie pamiętam jaki to był dzień. Zrobiłem kawę z paluszkami i tak spokojnie usiedliśmy w kuchni przy stole. Zaczęła się nasza rozmowa od takich słów: „Tadeusz, nadal uważasz mnie za przyjaciela?- tak- i ja wierzę, że nim byłeś i jesteś teraz, ale kiedyś ci nie wierzyłem. Byłem jednym z inspiratorów, żeby cię zlikwidować, była to moja dziejowa pomyłka: Nie mogę tak dalek żyć. Wyczyściłem pistolet, załadowałem 7 sztuk amunicji, zwołałem zarząd ZWM. Było nas 5-ciu, zarządziłem tajne głosowanie. Powiedziałem: Większość zwycięża. Głosowanie się odbyło: wynik 3:2. Powiedziałem: likwidacji nie będzie. Schował broń, koniec zebrania. Tadeusz, tak było.”

Stefan klęknął na kolana przed obrazem św. Tadeusza w kuchni, który do dziś wisi na ścianie, i wyrzekł te słowa: „Tadeusz, czy mi wybaczysz?”. Ja też klęknąłem na kolana i wzięliśmy się w ramiona, on się rozplakał, ja też płakałem i tak razem trzymaliśmy się w ramionach, może to trwało jedną minu-

tę, a może 5 minut, trudno określić. Wreszcie ja wstałem pierwszy i wyrzekłem te słowa: „Stefan wstań, wobec mnie jesteś czysty jak kryształ. Wybaczam ci wszystko co pomiędzy nami było złe, a co dobre niech się między nami rozwija. Niestety, los chciał inaczej. Za miesiąc, trwało to nie długo, zmarł nagle. Za życia jeszcze mi powiedział - Tadeusz jeszcze my obaj to wszystko opiszemy, niestety musiałem spróbować to sam. W 10 rocznicę śmierci Stefana Tercjaka, i w 60 rocznicę napaści Niemiec i Bolszewików na Polskę.

Kapitan Ludowego Wojska Polskiego

Liniowiec - wykładowca wykszolenia bojowego i strzeleckiego zmotoryzowanej piechoty ze szkół.

Z Wrocławia na Karłowicach i Rembertowa.

Rembertów - poligon.

20 lat w stanie spoczynku.